ROZMAITOŚCI.

Dnia 16. Kwietnia. № 16. Roku 1856.

MARY LUDZKIE.

I.

Mary ludzkie! kto je nie zna? ścielą nam się w podróży życia lube i słodkie, oby wszystkie tak były! Ależ są między niemi jedne pogodne i jasne, drugie posępne i czarne, białe jak śnieg i czarne jak noc. Miłość, sława, młodość i uroda, wymysły, nadzieje i wspomnienia, oto lube Mary, wróżki jasnowłose a swawolne co nam towarzyszą w kolejach życia; kto żyw, każdy raz przynajmniéj pieścił się z niemi. Szkoda! nie umiał człowiek cenić co dobrego, zmarnował i odprawił. Więc nadbiegły Mary czarne z żalami i ze łzami, z starością i z samotnością. Białe Mary zapełniają nam życie — niestety! z czarnemi Marami społem.

II.

Szczęśliwe dziécię Jakób! płużą mu i lata młode, i swoboda, majątek; więc buja po polach i błoniach, strzelba na ramieniu z legawcem Dyannie do zazdrości; myślałby kto patrząc że Jakób szuka za przepiórkami lub kuropatwą; myli się, bo często chociaż już strzelbę nastroił, zwodzi kurek gdy wczas zająkła turkaweczka na dębie. W domu go nikt ani słyszał, na przeszkodzie nigdy ani ojcu, ani matce, ani siostrze chociaż go zalewała melodyami Straussa, Beethowena. Tylko jak mu było za nadto, wychylał się między wierzby nad strumyk, albo dopadał gdzie otwartszego ustronia zkąd się przysłuchywał zalotom głotnych melodyi polnych. W tych głosach się kochał, mniéj natrętnych a tyle uroczych. Rozpływał się kiedy chorągiewka na dzwonicy za wiatrami szemrzyła, albo gdy woda po kamuszkach mruczała, radowało go gdy słyszał szum lasu, szelest liści, lub gdy go zalatywały odgłosy dzwonków trzody z pastwiska lub jakiéj piosnki pastuszéj. Rozrzewniał się nie wiedzieć czego, i w niebo się wpatrywał jakby gwiazdy liczył, i upajał się świeżością powietrza. A przytém twarz zawsze spokojna.

Ktożby takie dziécię nie lubił, bo to i uroda jak rzadko, oko modre, brew czarna, usta słodkie, czoło wspaniałe, a co za wyraz twarzy! Tylko z rokiem lat ośmnastu tchnie taka wiara, taka szczerota. Szczęśliwy wiek! prawda że

cokolwiek ułomny; na sam woni zalot od lilii lub róży już mu się zmysł zawraca, a na widok dziewczęcia u okna w dali, już mu drży serce i łzą oko zachodzi; lecz byle promyk słońca lub światełko księżyca, już i wesele w duszy, już umysł się unosi i zapala byle uśmiech, byle pocałowanie, byle słówko piękne, byle co bądź, jeśli rzuci iskierką poezyi i miłości.

III.

Raz tak siedząc pod wieczór, stawią mu się przed oczy — raczéj może przed serce jasnowłose Mary. Śnieżna tunika nakształt greckiéj spadała im w luby okół po kostki, i w pląsach lekkich że ani trawka się nie ugięła, rozwinęły przed nim niewysłowione wdzięki, z twarzy anielską słodycz, doskonałość z całéj postaci, a ich boski uśmiech wnikał do duszy, że ani oka oderwać.

Ja jestem Miłość, mówi piérwszą.

Ja Sława, powiada druga.

I potém kolejnie trzecia i czwarta:

A ja Młodość jestem;

Ja Piękność.

Ostatnia dodaje: jam Miłosierdzie.

I wszystkie razem zapraszają:

Chodź z nami, niech cię uszczęśliwimy; uwieńczymy ci skronie w kwiaty niepokalane, a pod stopy róż nasiejemy.

Ja cię uczynię wielkim, mówi Sława, przed tobą ludy padać będą na twarz, potomność rozgłaszać nie przestanie imienia twego.

Ja cię zawiodę gdzie ziemia obiecana, mówi Miłość; spojźrzeniem oka światom panować będziesz; przy mnie i ze mną gdy jesteś, potentatom ziemskim śmiało rzec możesz: Jam jest król świata! wszystko to moje.

Oh! a mię nie opuszczaj, otulaj czule, mówi trzecia. Beze mnie wątleje wszystko i pełznie; ja bylem chciała zamieniam żelazo w złoto, z lepianki pałac zbuduję, i jaka bądź boleść, w rozkosz ją odwinę. Ale mię nie truj, nie odprawiaj przed czasem. Przypatrz mi się zbliska i szanuj wszędzie, bo jeśli ulegnę, nic mię nie wskrzesi. Drugu! ja jestem Młodość.

A po niéj Piękność zbliżyła sie i mówi — nie, nic nie mówi, tylko wtknęła długie spojźrzenie z oka w osłupiałego młodzieńca, rozwiała lotną tunikę na wiatr, i dumnie podnosząc głowę poszła w zawód pląsu z siostrami.

A ja Litość, ja Miłosierdzie jestem, mówi ostatnia. Jeśli w kolejach życia staniesz samotny że siostry moje cię opuściły, i gdy się napłaczesz w niedoli, wtedy zatęsknisz do mnie. Do widzenia, niezapominaj o mnie.

A w głosie jéj tyle było słodyczy, w spojźrzeniu tyle czułości, szczególniejszy urok smutku tak rzewnie odlewał się z całéj jéj postaci, że słowa jéj długo brzmiały w uchu Jakóba, chociaż dawno mówić przestała. To co z ust jéj usłyszał, ani porównać mógł z wrażeniem, jakie sprawiły przed chwilą słowa siostr starszych. Coś w tém było jak w szczęściu jakiém radość bez upojenia, jak błogie uczucie w sercu podobne temu, kiedy jeszcze dzieckiem w komży, przy służbie bożéj, siał przed ołtarzem bławatki i róże.

O drużki moje, o moje siostry! zawołał wznosząc ręce, spieszę za wami, kocham was. Bez was żyćbym już nie mógł teraz gdy was poznałem. Pójdę za wami, dokąd same zechcecie!

IV.

Nazajutrz ze dniem Jakób ani się utrzymać w domu; duszno mu było w zamczysku ojcowskiém, otchłani szukał po polach i błoniach. A było to właśnie po zlewném zawichrzu téj nocy. Z zaraniem ziemia wstawała ze snu przyodziana pomrokiem tchu obłocznego, jak z-za kotary dziewica występowała wstydliwie przed słońca oblicze siejące złotem; niebo było czyste, powietrze świéże, kwiatuszki rozwierały kłąbki w dyament sperlone, muszki rojami zaczynały brzęczyć, a ptaszki wyśpiewywać najweselsze jakie umieją piosnki. Światy się umilały i suszyły do słońca jak dziateczki z kąpieli. A Jakób, jakby więzień uwolnion z kajdan, piérwszy raz na taki widok nieposiadał się z radości, czuł się że żyje, zawrzały w nim tajemne potąd wrzęsy serca, dusza przepełniona błogością zapragła przelać nadmiar swych uczuć na świat, i szczęściem własném przepoić wszystko, co tchnie duchem bożym.

Dwa dni późniéj, Jakób puścił się w światy.

V.

Mijał rok, mijał drugi, i zużyły się lata w pogoni za temi, co go piérwsze zwabiły i zaprosiły ze sobą.

Gonił za sławą; nie szczędził młodości; pięknościom bił czołem; a nierozłączny towarzysz miłości, w upojeniach rozkoszy ani wspomniał o téj co miała nadejść ostatnia — Litość miłosierna.

VI.

I nas także w kolejach życia witają po drodze Mary jasnowłose. Pókiśmy młodzi, gdzie się stopa powinie są tam i one, jawią się wszędzie, o każdéj porze i w kształtach przeróżnych; nęcą nas, bawią i zachwycają.

Z czasem znużony niemi, w duszy sobie przysięga człowiek, nie dopuszczać się zwodów, ustatkować chciałoby mu się, zatula się w ustronie, roi o pokoju serca, i Bogu dziękuje, że mu odpoczynku dozwolił. Lecz w téj właśnie chwili, zjawia się z błyskawicą gdzieś zdala jakaś nowa Mara, Amazonka strojna, smukła, jak łani w polocie z wiatrami; gasną przedsięwzięcia, i zapał ku niéj nowy unosi człeka z ustronia, zrywa się w pogoń, dobiega i u nóg pada, i przysięgi składa, że ona odtąd panią mu życia całego.

Niebawem w posługach znękany, styrany, przypada w rozpaczy nad brzegi rozhukanego morza, i przed niém wywnętrza się z żalów i boleści swoich; zwleka się gdzie sterczą skały, i w ponurych obrazach prądu, ponury wzrok swój zatapia. Zdaje mu się że już umiera, i czeka tylko kiedy marmurem grobowiec sobie ościelić; — w tém głos zalatuje, budzi się na wezwanie jak ze snu ciężkiego. Czarodziejka staje przed nim; rozpacz płonie; człek zrywa się

i dalej w pogoń. Jasnowłosa Mara jeszcze przemogła.

I jakżeż Marom nie uledz, kiedy wszędzie nastają na nas, niema wycieczki przed niemi, ani w salonach śród tłumu, ani u szczytu Alpów, ani na stepach; czy człowiek sam czyli w gromadzie, w mieście czy na wsi, na lądzie czy morzu, gdzie tylko tchnie wietrzyk boży, zakrada się i Mara jasnowłosa, i nasiada na ludzi.

VII.

Nasiada, lecz żeby się choć ująć dała! ależ byle dotknąć, spłynie częstokroć jak widmo fantazyi; i dopiéro opamiętywa się dusza i pojmuje, że owe heroiny i bożyszcza, to zmyślone sploty kształtów babia ziemskiego, wysnute z własnych urojeń myśli i mamideł naszego serca. A przecież choć wiemy że są mamidła, że urojenia, korzy się geniusz ludzki przed niemi, i utrwala boską ich postać w Aldonie, Julii, Ofelii, Rebece, Semiramidzie, Lucyi, Safonie, Bachantce i setnych innych marzenia swego utworach. Szczęśliwy że cieniem ich się ubawił.

VIII.

Prędko zużyła się młodość, na ten sposób jak Jakób życie prowadził. Wprawdzie gdy poczuł że ją urania, wysilał się jakby powstrzymać dogorywające światełko; ale pora nadeszła, pierzchły z serca nadzieje, odwaga zastygła — zestarzał się — choć miał lat trzydzieści. Zasiadł przy ognisku skośniałe członki wygrzewać, i dumał, gdzie téż ta którą kochał? — Dumać nie nada kiedy go zwiedła! A gdzie przyjaciel od serca? — Cóż po nim? on sobą zajęty, ambicyi i miłości oddany przebywa te same co on niegdyś koleje! A sława, gdzie sława moja? — Puste rozkosze ją uniosły, zmarniała w próżném nieczynném życiu. I w oczach stanęła mu izba naga, ściany bez echa, kwiaty bez woni. Zerwał się jak żądłem rażony, tak go przeraził nagle potwór czczości serca i duszy.

Patrzy, a za nim stoi małe chłopiątko, biedne dziécię w żałobnym stroju, podobne do niego jak kropla wody.

Któż ty jesteś gościu w domu uspienia? Zkąd to że chodzisz za mną? Ktożeś, kto jesteś mój bracie, że mi się jawisz w dzień żalów i płaczu?

Drugu! mój ojciec i twoim ojcem. Jam ani stróż anioł, ani wróg ludziom, ani wiem którędy chodzą ci, których kocham. Jam ani zły ani duch dobry, lecz po imieniu szczerém wołałeś mię gdy mię nazwałeś bratem; gdziekolwiek pójdziesz i ja za tobą; do ostatniego tchu życia twego cię nie opuszczę, jeszcze i na grobie twoim usiędę. Kiedy w boleściach będziesz, wołaj mię, przybędę, powiodę cię, ale się ręki twojéj nie dotknę bracie; jam jest Samotność.

IX.

Po północy gdy wszystko spało, siedzą na zgliszczu trzy czarne Mary, i wygrzewają się przy opałkach chrustu.

Spieszmy, mówi pierwsza, może nas minąć; i rwie się z wężem co jéj wątrobę wygryzał.

A spieszmy, domawia druga, szkodaby, bo zdobycz dobra; — i zwiesza głowę, jak gdyby jéj ołowiem ciężyła.

Nażył się szczęścia, dość z niego, dodaje trzecia, czas już niech idzie na moje ręce. Pomożcie tylko!

Jakób bezsennością trawiony, właśnie w téj chwili błąkał się manowcami po połoninach.

Mary czas upatrzywszy, przerzucają się w piękne postacie, stroją się w suknie kradzione, i bieżą naprzeciw.

Coż-to, nas nie poznajcsz? mówi *Zazdrość* słodziutkim głosem. Niewdzięczny! Trzeba żebyśmy aż same wyszły do ciebie! Mów, czy nic nie chcesz?

Mów, gotoweśmy ci służyć i kochamy cię zawsze, dodała zcicha *Obmierzłość.*

Chodź, czegoś stanął, obsypiemy cię dobrami świata, przymówiła się *Nędza;* przy nas będziesz bogatszy niż książę udzielny; a w złocie potęga, wiesz o tém.

Jakób osłupiał. Słów takich dawno nie słyszał, i chociaż głos nie zdawał mu się podobnym do głosu jaki przed laty dwunastu słyszał, ale że postacie wydawały się okazałe i ładne, pocieszyło go to przy samotności, co go trapiła.

Pozwólcie, proszę, czego chcecie ode mnie?

Szczęścia twojego chcemy, wykrzyknęły wszystkie trzy razem. Chodź z nami!

I powiodły go ścieżeczką gładką pomiędzy kwiatuszki migające błyskotem nocy, powiodły do groty ościelonéj powojem.

Jakób szedł jak baranek za niemi.

Wnijście do groty wyścielała stokrótka, a nad nią szumiało źródełko po skale.

Damy przodem, przeszły jakąś długą galeryę, za niemi Jakób szedł mimowolnie, choć mu się coraz serce ściskało. Wreszcie przybyli do sali sklepionéj, oświeconéj jedną pochodnią dymiącą a duszną. Tu przewodniczki zaczęły zrzucać swe płaszcze.

Wierzaj nam, a będziesz szczęśliwy. I nim Jakób ochłonął z przestrachu, Mary ujęły go w swoje ramiona.

Nagle poczuł kroplami jad jak się wsączał mu w serce.

Nasz-eś, nasz! krzyknęły wszystkie trzy razem.

I dopieroż się przeczwarzać w to czém były w istocie; spadły kulce i stroje kradzione, i stanęły przed Jakóbem w całéj brzydocie nagiéj, stare, łyse, zeskorupiałe, bezzębne pyski szerokie, ta jednooka, tamta kulawa, trzecia zapierzona jak upierzyca.

Nasz-eś, nasz! wywoływały chórem, nasz-eś!

A Jakób ryknął jak pod grotem piekielnym, zdobył się co mógł jeszcze na siły, pchnął Marę jednę i drugą, i na oślep którędy przyszedł uciekał. — Całą noc jak szaleniec błąkał się po wszystkich bezdrożach.

X.

Odtąd w Jakóbie zmieniła się cała natura. Zazdrość zasuszyła mu serce, skrzepł umysł w ochocie, zniechęcenie i nudoty osiadły za nim u węzgłowia łoża. Ani mu się podnieść, zgasła wiara w uczciwość, runęła miłość do tego co pięknem, i litość zastygła na widok nieszczęśliwego.

Wlókł się po zakątach i wykradał przed ludźmi, bo w duszy ludzkości nie czuł, i gdy tak raz o świcie żałoby swoje ponad brzegami morza rozwiesza, i ochłody w wiatrach szuka na swoje spieczone usta, zalatują go jakieś śpiewy wesołe i wdzięczne, coraz bliżéj i bliżéj, jakby falą wód rosły ku niemu. Mi-

mowolnie samo od siebie zwraca się oko zkąd zalot głosu, i widzi czółno z perłowéj muszli, jak z wiatrem do lądu pędzi, a na niém piękne kobiéty strojne w kwieciste wieńce. Było ich cztéry, każda młoda, urodziwa, i uśmiech pogodny na twarzy. Spojźrzał i poznał je Jakób od razu.

Na kilka piędzi stanęło czółno od brzegu.

Piérwsza z kobiét, Miłość, mówi do niego:

Wykradłeś się z świątyni mojéj i splugawiłeś ołtarze moje; świętości uczucia mego zlałeś w brudy namiętne, i wywiesiłeś na śmiecie uliczne; żyjże na niém — my się nie pojmujemy. Bądź zdrów.

I do mnie łacno ci było wznieść się, mówi Sława; były dary od Boga, były talenta, zakopałeś je, sponiewierałeś na próżnych mamidłach. Już dla ciebie nic ze mnie. Bądź zdrów.

A Piękność dodaje:

Gdzie się podziała uroda twoja? zmyłeś z czoła szczerość, otwartość, a powyżłobiałeś chucie, troski, pożądliwości, wstręty. Lata płochości wypleniły ci włosy, a co z nich nie dopadło, zিżyło się. Z panem Bogiem, nie znam cię więcéj.

I ja także żegnam cię, szepnęła żałośnie Młodość. Oh! nie oskarzaj, nie potępiaj mię proszę. Sam mię zabiłeś przedwcześnie, spotwarzyłeś wdzięki moje dwudziestoletnie. Ja nie potępiam cię, ale ubolewam nad tobą; z duszy pragnęłabym zostawać przy tobie, możeś ty i lepszy jeszcze niż wielu z braci twoich, którzy mię zprzed siebie wygnali. Lecz taka dola moja. Bądź zdrów bracie, bądź zdrów.

I czółno znikło, z niém Miłość, Sława, Młodość i Piękność; wdzięk tylko pieni rozległ się po wodach; Jakób wyciągnął za niemi ręce, i długo, długo stał zdrętwiały w żalach i w serca zgryzocie, zdawało się że martwieje w posąg Nioby, ale zbyt gwałtownie miotały nim wzburzenia uczuć, by mu dozwoliły skamienieć. Wrzało w nim tak, że w odmęcie żalów dłużéj ustać nie mógł, nęki setne pchnęły nim sam nie wie dokąd — w tém zdala zachodzi mu drogę postać poważnéj dziewicy, łagodny skład ustek umila twarz jéj.

Jam Miłosierdzie, wszak mię poznajesz, towarzyszkę siostr co odeszły, przyzostałam dla ciebie, z moją ulubienicą.

O ramię jéj oparte stało dziéwczę, dorastające pięknością i wdziękami swą towarzyszkę, twarz dziewczęciu promieniła się jak róża z kroplą rosy do słońca, spojźrzenie było słodkie a wzrok długi przenikał do duszy. Kto je zoczył, wiekami radby się w twarz tego dziewczęcia wpatrywał.

Słuchaj, mówi Miłosierdzie, ja cię nie opuszczę, owszem przybywam ci w pomoc. Odstąpiły cię siostry moje, nie ich w tém wina, ale téj doli że nieszczęśliwych unikać muszą. Moje powołanie jest słodsze, i niebu za to dzięki składam. Z powołania ocieram łzy gorzkie, pocieszam serca zrażone, podnoszę ułomnych w upadku i przebaczam im winę. Mogę ci być zbawieniem, i wyrwać duszę twą z zazdrości, z nędzy i zniechęcenia. Chodź za mną, społem siejmy pociechy, czyńmy dobrze, wspierajmy bliźnich i przebaczajmy. Ze mną i przy mnie wytkniesz jakowąś metę życiu twojemu; i jeśli jasnowłose Mary uleciały zprzed ciebie, czarne Mary jeszcze nie koniecznie przemogły; znajdziesz we mnie ochronę, grot ich cię nie dosięże, tam gdzie ja strzegę.

I Litość podała mu rękę.

Oto siostra moja, mówiła daléj, wierna drużka moja, nikt jeszcze ze śmier-

telnych nie dotknął ręki jéj, ale kto w oko spojźrzał, padał na kolana przed nią i żył szczęśliwy, bo wdzięki jéj wiecznie trwałe, w rozmaitości nieprzebrane, tchnienie jéj potęga nieskruszona; kto się jéj poświęci, nie ulegnie, ona mu wsparcie niesie, pociesza, męki ochładza, zniechęcenia rozbraja, duszę raduje, weselem upaja. Kto ją miłuje, znajdzie ją we wszystkiém co przedsiębierze. *Ideał* imię jéj. A cudowna moc w niéj i czarowna siła, byleś raz jeden sercem do niéj się podniósł, uczucia twoje przybierają wyższości dotąd tobie samemu niepojętéj, że pokonasz niechęci, żale, tęschnoty, smutki, zmartwienia, i na duszę twą rozlejesz wonie gojące rany najboleśniejsze. To coś w przeszłości uronił, stanie ci się przy niéj pomnikiem uzdrowienia, bo cię nauczy z cyprysów sadzonych nad grobem Mar i Ułudzeń wysączać balsam żywota, w który gdy kto narzędzie dzieła swego umacza, roznie-sie rozgłos imienia swego, i miłość wyjedna, i zdolen stanie się przemłodzić siebie i zgrzybiałe plemieńce swoje.

DWIE DROGI.

POWIEŚĆ FANTASTYCZNA.

O S O B Y.

Matka.
Ludomir, jéj syn.
Zosia, mleczna siostra.
Wacław.
Klara.
Stanisław, przyjaciel Ludomira.
Hrabia.
Chór gości.
Anioł poezyi.
Wodnica.
Chór lirników.

P R O L O G.

(Noc — niekiedy księżyc wypływa zpoza chmury, i ukazuje krzyże rozsiane po cmentarzu. Pomiędzy mogiłami przesuwają się cienia starych lirników.)

Chór lirników.

Długoż będą nasze duchy
Smutne, krążyć po przestrzeni,
Gdy nad ziemią pomrok głuchy,
Zorza nieba nie rumieni.

Sen ogarnął błędnych ludzi,
Krew im lodem skrzepła w łonie,
Chyba dźwięk ich pieśni zbudzi;
Lecz kto lirę ujmie w dłonie?

Lir odwiecznych drżąca struna
Przegryziona rdzą grobową,
Zdołaż sama zpod całuna
Zabrzmieć pieśnią hejnałową?

By z niéj srebrne dobyć dźwięki
I błagalnie wznieść do nieba;
Nieskalanéj trzeba ręki,
Płomiennego serca trzeba.

O aniele białopióry,
Co stróżujesz onéj ziemi,
W mgle porannéj przypłyń z góry,
Błyśnij skrzydły łabędziemi.

O! wybłagaj nam aniele
Krople żywéj z nieba rosy;
A ugory kwiat zaściele,
Na pustkowiach błysną kłosy!

I przez usta zabrzmi wieszcze
Czarodziejskich zaklęć słowo;
I ta ziemia Panu jeszcze
Pieśń zanuci hejnałową!.....

(Na obłoku usrebrzonym promieniem księżyca, zjawia się anioł poezyi, i przepływa ponad ziemią.)

Anioł.

Zdala nad tobą ziemio uśpiona,
Ja czuwam wiecznie, twój anioł stróż;
Gdy skrzydłem dotknę twojego łona,
Wieńcem cię wonnym oplatam róż.

A nieśmiertelne piersi méj tchnienie,
Grobów wilgotną osusza pieśń;
Płoszy ponure chmur nocnych cienie,
Z zaklęcia cudną wyzwala pieśń!

Ocknij się senna, bo wnet uroczo
Błysną dwie gwiazdy na nieba tle;
W promień czarowny znów cię otoczą
Spowitą w bladéj zwątpienia mgle.

(Anioł pochodnią swoją zapala dwie gwiazdy i rzuca je w przestrzeń.)

Dalejże w przestrzeń, jasne a czyste,
Zatlone ogniem niebieskich łask;
Nad grody, lasy, pola kłosiste,
Roztoczcie złotych promieni blask!

Niech jedna cudne skąpie oblicze
Wzmąconéj fali Wiślanych wód,
Niech z góry światła tchnie tajemnicze,
W snem twardym zdjęty kamienny gród!

Druga niech ze snu rozbudza sioła,
I z ulów pszczolny wyprasza rój;
Z rannym skowronkiem do siejby woła,
I słodzi kmiotkom codzienny znój.

Chór lirników.

Chwała Panu, zorza płonie,
Złote słonko błyśnie wraz;
Bracia, kornie wznieśmy dłonie,
Nim mogiła wezwie nas.

Biały anioł zbiegł z błękitu,
Błysnął łuną śnieżnych piór,
I rozpostarł hasło świtu
Na wyżynach stromych gór.

Héj! oraczu, słonko świeci,
Twardą dłonią ujmij pług;
Daléj ze snu, starce, dzieci!
Nim dzień biały ześle Bóg!

Niech z kościelnéj Panu wieży
Pozdrowienie bije dzwon;
Niech po rosie dźwięk dobieży
Przed odwieczny Boga tron.

My pod darnią cmentarzową
Do grobowych wróćmy snów;
Bo urocze pieśni słowo
W nasze pola spływa znów!

I.

(Dworek mały pokryty słomianą strzechą. W ubogiéj izdebce spi w kołysce dziécię; matka czuwa nad spiącym i spiewa).

Dziecino, spoczywaj pod skrzydły anioła
Nim ranne twe chwile przepłyną;
Nim ciebie do czynu głos boży powoła,
Śnij błogo na kwiatach dziecino!

Niech anioł stróż w rajskie zasiewa nadzieje
Myśl twoję przeczystą a jasną;
Dopóki chłód życia mar złotych nie zwieje,
Nim zorzy promienie zagasną.

Nim duch twój od matki oderwan przyrody,
Gdy burza zaszumi doliną,
Pogoni za chmurą z orłami w zawody,
Śnij błogo na kwiatkach dziecino!

Czy słyszysz? tam w boru konary dębowe
Tajemnym szelestem zadrżały;
To może ci anioł rozwija na głowę
Liść, godło urocze twéj chwały.

Bo anioł twój dziécię, przed matki źrzenicą
Rozsunął przyszłości mgłę siną,
I wskazał, jak gwiazdy promienie już świecą
Nad twoją kołyską dziecino.

I wskazał tę lirę zrdzewioną a starą,
Co brzmiała przez wieki téj ziemi,
Skrzepiając pierś ojców miłością i wiarą,
Jak leży pod stopy twojemi.

Podejmiesz ją dziécię, uderzysz w jéj struny,
I dźwięki jéj z rosą popłyną;
Aż zadrzą serc zwiędłych grobowe całuny
Na odgłos twéj pieśni dziecino!

I z grodu do grodu, od sioła do sioła
Pobieży natchnione twe słowo;
I czarów zaklęciem na błędnych zawoła,
Lub błyśnie im gromem nad głową.

Ty przejdziesz z nieziemską na czole pogodą,
Przez trudy żywota i znoje;
I własna pieśń będzie, twą, dziécię nagrodą,
Pociechą, niewinne łzy twoje!

A dzisiaj nim blaski twéj gwiazdy zapłoną,
Nad sama naddziadów krainą;
Spoczywaj pod skrzydeł anielskich osłoną,
Śnij błogo na kwiatach dziecino!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

W zeszłym numerze Rozmaitości, w wierszu pod tytułem „Pod niebem", wcisnęły się omyłki, które z porządku i na żądanie tłumacza prostują się. W zwrotce ostatniéj, w drugim wierszu od góry, zamiast: *stawić*, ma być: sławić. W tejże samej zwrotce, w wierszu czwartym, zamiast: *Na* miłość słońca, ma być: Nie miłość słońca. W zwrotce zaś trzeciéj, w wierszu trzecim, po ostatnim wyrazie zamiast punkt, powinien być *dwukropek*.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*